

DRAŃ Z HOLLYWOOD



ALESSANDRA
TORRE



DRAŃ Z HOLLYWOOD



ALESSANDRA
TORRE

PRZEŁOŻYŁA

Lucyna Wierzbowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Hollywood Dirt

Redaktor prowadząca: Marta Budnik

Redakcja: Aleksandra Zok-Smoła

Korekta: Justyna Yiğitler

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © mustafagull (Istockphoto.com)

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2015 by Alessandra Torre.

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Lucyna Wierzbowska, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2019

ISBN 978-83-66234-64-2



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Książka zawiera odniesienia do żyjących osób, a jej akcja toczy się w mieście, które istnieje naprawdę. Użyte w niej imiona, nazwiska oraz nazwy stanowią jednak element fikcji literackiej i tak powinny być traktowane.

Wstęp

*K*obiety z Południa są wyjątkowe – nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zrodziłyśmy się z konfliktu; nasza przeszłość jest naznaczona bitwami, chaosem, troską o bezpieczeństwo i walką o przetrwanie. Zarządzałyśmy plantacjami w ogniu wojny, serwowaliśmy żołnierzom Unii herbatkę, by za chwilę patrzeć, jak palą nasze domy, chroniłyśmy niewolników przed sądem i przez całe wieki patrzyłyśmy na błędy naszych mężczyzn, wyciągając odpowiednie wnioski. Na Południu niełatwo jest przetrwać. A zwłaszcza z uśmiechem na ustach.

My, kobiety, trzymałyśmy stany Konfederacji w mocnym uścisku, chroniąc je przed rozpadem. Trzymałyśmy się moralności i godności. Trzymałyśmy głowy wysoko, nawet gdy znaczyły je krew i sadza.

Jesteśmy silne. Jesteśmy z Południa.

Witamy w Quincy.

Liczba mieszkańców: siedem tysięcy osiemset osób.

Średni dochód gospodarstwa domowego: nigdy tego nie zdradzimy.

Tajemnice: całe mnóstwo.

Miasteczko Quincy w Georgii było kiedyś najbogatszym miastem w całych Stanach Zjednoczonych. Mieszkało tu sześć-

dziesięciu siedmiu milionerów, którzy zbili fortunę na akcjach Coca-Coli. Dziś jedna akcja warta jest dziesięć milionów dolarów netto, co czyni Quincy miejscem, w którym zdecydowanie opłaca się mieszkać. A jednak przyjechawszy tutaj, nie zobaczysz bentleyów ani kamerdynerów. Ujrzysz małą mięscinę: zadbane, sielskie rezydencje utrzymane w duchu prostych, wielowiekowych tradycji Południa. Uśmiechaj się. Traktuj bliźniego swego jak siebie samego. Bądź życzliwy. Trzymaj swoje sekrety przy sobie, wrogów zaś jeszcze bliżej.

Cole Masten był moim wrogiem od samego początku.

Rozdział 1

*H*ollywood i polne drogi to kiepskie połączenie. Ludzie z Fabryki Snów nie rozumieją, jak działamy. Nie pojmują zawilego systemu reguł, według których żyjemy. Myślą, że skoro mówimy powoli, to jesteśmy głupi. Myślą, że nie potrafimy się poprawnie wypowiedzieć. Myślą, że mercedesy czynią ich lepszymi, podczas gdy dla nas są tylko świadectwem niskiej samooceny.

Cały ten orszak nadciągnął w niedzielne sierpniowe popołudnie: ciężarówka z przyczepami, za nimi furgonetki i busy, a później łańcuszek podobnych do siebie sedanów. No i barobusy – jakby w Quincy nie było restauracji. Potem kolejne ciężarówka z przyczepami. Woń naszych kamelii gryzła się z zapachem ich spalin, z wyczewami diesla przesyconymi arogancją i pretensjonalną bufonerią. Pisk hamulców usłyszeli wszyscy w trzech sąsiednich hrabstwach. Nawet drzewa pekanowe wyprostowały się z ciekawości.

Niedziela. Tylko Jankesi mogliby wpaść na pomysł, że to dobry moment, by wdzierać się do cudzego życia. Niedziela – dzień Pański. Dzień przeznaczony na modlitwy w kościelnej ławie. Na późne śniadania w towarzystwie rodziny i przyjaciół, jedzone pod rozłożystymi dębami. Na popołudniowe drzemki i spotkania na

ganku o zmierzchu. Wieczór należało spędzić z rodziną. Niedziela to nie był dobry dzień na robienie zamętu. Ani na pracę.

Wiadomość gruchnęła, gdy byliśmy w zborze baptystów. Podniekcytowane szepty rozchodziły się przy długim stole, lawirując między kukurydzianym chlebem, pierogami, zapiekanką z brokułów i ciastem z orzechami pekanowymi. Mnie poinformowała o wszystkim Kelli Beth Barry. Nachyliwszy się w moją stronę, niebezpiecznie przysunęła rudą czuprynę do puszystej papki ze słodkich ziemniaków.

– Przyjechali – powiedziała złowieszczo. Ekscytacja w jej oczach nie pasowała do posępnego charakteru wiadomości.

Nie musiałam pytać, o kogo chodzi. Mieszkańcy Quincy czekali na ten dzień od siedmiu miesięcy. Od chwili gdy Caroline Settles, asystentka burmistrza Frazier, zwietrzyła pierwsze sygnały nadchodzącej sensacji. Kiedy pewnego poniedziałkowego ranka odebrała telefon od Envision Entertainment, przekierowała połączenie do gabinetu szefa i usadowiła się na krześle pod jego drzwiami z pudełkiem cukierków cynamonowych. Była już w połowie opakowania, kiedy zerwała się na równe nogi i wróciła do biurka. Jej okrągły tyłek trafił na krzesło dokładnie w momencie, gdy burmistrz wyszedł z gabinetu. Prężył pierś, na nosie miał okulary, a w ręku trzymał notatnik, w którym – jak Caroline doskonale wiedziała – nie było nic prócz gryzmołów.

– Caroline – powiedział z południowym akcentem. Dało się wyczuć, że uważa się w tym momencie za kogoś bardzo ważnego. – Właśnie dostałem telefon od ludzi z Kalifornii. Chcą nakręcić film w Quincy. Jesteśmy dopiero na etapie rozmów wstępnych, ale... – popatrzył znad okularów z pewną dozą stanowczości i dramatyzmu – to nie może wyjść poza ściany tego biura.

Stwierdzenie to było zupełnie niedorzeczne, bowiem burmistrz Frazier doskonale wiedział, co się stanie, gdy wróci do swojego gabinetu. W miasteczkach takich jak nasze istnieją dwa rodzaje sekretów: soczyste i te objęte ochroną, którą mieszkańcy zapewniają im wspólnie jako mininaród. Te pierwsze nie pozostają sekretami zbyt długo. Nie takie jest ich przeznaczenie. W małych miastach soczyste tajemnice stanowią jedyne źródło rozrywki, są smakowitymi kąskami, które utrzymują nas wszystkich w dobrym zdrowiu. To nasza waluta. Trudno o coś cenniejszego niż najświeższa wiadomość z pierwszej ręki. Nie minęło pięć minut, kiedy Caroline zadzwoniła do swojej siostry z osobistej łazienki burmistrza. Siedząc na przykrytej miękką nakładką desce klozetowej, z zapartym tchem powtarzała każde słowo, które usłyszała przez zamknięte drzwi.

– Powiedzieli „plantacja”. Plantacja jak w *Przeminęło z wiatrem*. Wspominali też o Claudii Van. Myślisz, że ona przyjedzie do Quincy? Była mowa o sierpniu, ale nie wiem, czy chodzi o ten rok czy o następny.

Kręgi plotkarskie miały dość informacji, by rozpętać burzę. Spekulacje i fałszywe przypuszczenia rozprzestrzeniały się jak epidemia wszy w 1992 roku. Każdemu wydawało się, że coś wie, a kolejne dni nieustannie przynosiły nowe informacje, które karmiły nasze umierające życie towarzyskie niczym manna z nieba.

Miałam szczęście. Mogłam oglądać rozwój wydarzeń z miejsca w pierwszym rządzie i stałam się interesująca dla miasta, które trzy lata wcześniej z pełną stanowczością wpisało mnie na czarną listę. A od „interesująca” do „wartościowa” jest już tylko jeden krok. Przez dwadzieścia cztery lata naszego życia w Quincy ani mnie, ani mamie nie udało się na to określenie zasłużyć. Nie żeby jakoś szczególnie mi na nim zależało, ale miałam dość rozumu, by nim nie gardzić.

Ten film był najbardziej ekscytującą rzeczą, z jaką mieliśmy do czynienia w naszym mieście, i wszyscy z zapartym tchem odliczali dni do przyjazdu ekipy.

Hollywood. Blichtr. Studia filmowe. Znani aktorzy. A najważniejszym z nich był Cole Masten.

Cole Masten. Mężczyzna, o którym kobiety marzą nocami przy chrapiącym mężu lub – jak w moim przypadku – śpiącej matce. Bardzo możliwe, że w całym Hollywood od dekady nie było większego przystojniaka. Wysoki i silny, o sylwetce, która doskonale prezentuje się w garniturze, a po zdjęciu koszulki pyszni się wybrzuszeniami mięśni. Ciemnobrązowe włosy – na tyle długie, aby można zanurzyć w nich dłoń i chwycić je w palce, ale dostatecznie krótkie, by wyglądały schludnie i elegancko. Zielone oczy, które podbijają serce przy pierwszym uśmiechu. I sam uśmiech, przez który dziewczyna zupełnie zapomina, co mówił jego właściciel, bo jej ciało ogarnia tak desperackie pragnienie, iż myśli stają się czymś zupełnie zbędnym. Cole Masten był uosobieniem seksu i wszystkie kobiety ślinały się na myśl o jego przyjeździe.

Wszystkie prócz mnie. Ja bym nie mogła. Po pierwsze, Cole był dupkiem. Kogucia pewność siebie i żadnych manier. Po drugie, był moim szefem. Moim i reszty mieszkańców. Nie tylko grał w filmie, ale też włożył w niego własne pieniądze, bo to on finansował całe przedsięwzięcie. To on przeczytał krótką powieść o życiu na Południu, o której nikt dotąd nie słyszał. Powieść o naszym mieście, która mówiła, czym tak naprawdę są nasze furgonetki i domy na plantacjach. A czym są? Przykrywką. Przykrywką cichych milionerów.

Zgadza się. Nasze spokojne siedmiotysięczne miasto cechuje nie tylko poszanowanie dla południowej etykiety i obfitość wielokrotnie nagradzanych przepisów na smażonego kurczaka. Charakteryzuje je również ścisła dyskrekcja, czego największym

przejawem jest tajna zawartość naszych sejfów w banku i zakopanych na podwórku skrzyń, naszych zamrażarek i skrytek w okapach dachów.

Gotówka. Całe morze gotówki. W naszym małym mieście żyje czterdziestu pięciu milionerów i trzech miliardów. Tak w przybliżeniu. To najdokładniejszy szacunek, na jaki pozwalają nam prowadzone szeptem kalkulacje. Może bogaczy jest więcej. Wszystko zależy od tego, jak mądrze – lub głupio – postępowały kolejne pokolenia z akcjami Coca-Coli. Bo to ona jest tu źródłem wszelkiego bogactwa. Cola. Powiedz w tym mieście „Pepsi”, a będziesz musiał bardzo uważać, opuszczając jego mury.

A więc jak już mówiłam, Cole poznał nasz mały sekret, co sprawiło, że zafascynował się naszą małą i jakże bezpretensjonalną miasteczką. Zebrał więc ekipę. Wynajął scenarzystę. Na tyle długo nie gościł na łamach tabloidów, że zdołał stworzyć trzygodzinny film na bazie siedemdziesięciodwustronicowej książki. A teraz... przyjechali. Trzydzieści miesięcy po tym, jak Caroline podniosła rwytes. Ludzie z Fabryki Snów. O jeden dzień za szybko. Mówiłam im, żeby zjawili się w poniedziałek. Powiedziałam o wszystkich kłopotach, które mogą się pojawić, jeśli przybędą w niedzielę. Przyglądałam się temu szaleństwu i zastanawiałam, ile jeszcze problemów czeka nas po drodze.

Wysłałam za tłumem na trawnik przed zborem i patrzyłam, jak przyjezdni dokonują inwazji na Main Street. Mężczyźni zeskakiwali z busów oraz ciężarówek, tworząc istne kotłowisko. Tu ktoś krzyczał, tam pokazywał palcem, wszyscy biegali bez ładu i składu. Uśmiechnęłam się. Nie potrafiłam się powstrzymać. Ten cały korowód był jak gruby, bogaty opryszek, który wciskał się w nasze życie przy niedzieli. Tym ludziom wydawało się, że mają władzę. Że nagle stali się właścicielami miasta.

Nie mieli pojęcia, w co się właśnie wpakowali.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059